

WYCHODZCA POLSKI

Organ Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami.

■■■■■■■■■■■■■■■■■■■■ MIESIĘCZNIK. ■■■■■■■■■■■■■■■■■■■■

WARUNKI PRENUMERATY: W Warszawie rocznie rb. 1,—z przesyłką rb. 1.20
CENA OGŁOSZEŃ: Cała strona rb. 30, część strony w odpowiednim stosunku.

Adres redakcyi i administracyi: Warszawa, Erywańska 2. Tel. 68-30.

OD REDAKCYI.

Od października r. b. zawieszamy wydawnictwo „Wychodźcy Polskiego”.

Kilka uwag w sprawie „Wychodźcy Polskiego” i Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami.

Zarząd Tow. Opieki postanowił cofnąć subsydia Redakcyi „Wychodźcy”, który tem samem po roku istnienia zostanie zawieszony.

Wiadomością tą dzielimy się z przykrością i żalem, nieodłącznym od każdego objawu zamierania życia u nas i grzebania niedawno rozpoczętych usiłowań. Powodem tego smutnego faktu jest 1) że pisemko nasze nie odpowiedziało swemu celowi; 2) że Tow. jest zmuszone zmniejszyć swe rozchody i wydatki, aby móżdżek wegetować.

Powstanie swe zawdzięczał „Wychodźca” ujawniające się potrzeby stworzenia wydawnictwa, zajmującego się emigracją, informującego o warunkach życia i pracy na obczyźnie, dalej po-

trzebie łącznika między krajem macierzystym a emigracją, wręczenie uczciwego doradcy dla całego zastępu ludzi, szukających poprawy bytu, a nie wiedzących czy emigrować, czy w kraju się okupić, lub czego się chwycić, by żyć.

Podawanie informacji bieżących, np. o pracy w Argentynie, w licznych komunikatach, pomieszczanych w pismach codziennych, miało wiele złych stron, gdyż redakcyje niechętnie drukują wiadomości, w innych pismach już pomieszczone, dłuższych artykułów wogóle drukować nie chcą, zamieszczanie zaś takich wiadomości w jednym tylko piśmie, mającem jakikolwiek charakter partyjny, budziło niechęć lub niedowierzanie u zwolenników pism innego kierunku i wywoływało zarzut stronnictwośći, zarzut, któregośmy przedewszystkiem uniknąć pragnęli.

Dlatego postanowiliśmy rozpocząć wydawnictwo „Wychodźcy”, jako własnego organu bezpartyjnego, w którymbyśmy mogli dłużej nad danymi kwestyami się zastanawiać. Pisemko miało

197 6 1890



Cz 24066/1912/11-12

być popularnem i taniem, ale jednak nie stać na poziomie czy-sto ludowym, uważaliśmy bo-wiem, że ten, kto emigrować za-mierza, nie będzie przez rok cały pisma prenumerował dla dowiedzenia się czegoś o Ame-ryce lub cenie biletu. Emigra-cya bowiem u nas rzadko kiedy jest wynikiem długiego i głębo-kiego namysłu, a przeważnie chęć do wędrowności rodzi się zwy-kle nagle, po jakimś wypadku w rodzinie, pożarze, stracie po-sady, lokaucie i t. d. i wtedy emigrant decyduje się prędko na wyjazd, najczęściej nie wie-dząc nawet, dokąd.

Dla tych powodów staraliśmy się nadać piśmku charakter od-powiedni nie dla ludu samego, lecz dla osób, z ludem bliżej związanych, sądząc, że ci, któ-rych los emigracyi i emigrantów obchodzi, prenumerując „Wy-chodźcę“, potrafią osoby zain-teresowane objaśnić i z wyczy-tanych informacji tak pokiero-wać, aby zło było najmniejsze. Okazało się jednak, że tych tłó-maczów naszej myśli i wskazó-wek było zbyt mało, że opiekun-ów dla emigrującej ludności nie stało. Sprawa emigracyi, przez nas poruszona, zainteresowała naprawdę tylko sto osób, i tylu mieliśmy prenumeratorów płą-cących, resztę zaś nakładu w ilo-ści 300—400 egzempl. rozsyłałi-śmy darmo pismom i osobom, któ-rym chcieliśmy zainteresowanie swe tą sprawą wpoić, pobudzić. Rezultat zawiódł. Powrócić więc musimy do dawnego sposobu ogłaszania naszych komunika-tów w pismach ludowych i wprost dla ludu pisanych, zdając sobie doskonale sprawę z trudności, ztąd wypływających.

Drugi powód zawieszenia pi-

sma jest natury ogólniejszej, gdyż związany ze złym stanem finan-sowym T-wa, które w r. b. zmu-szone jest czynić jak największe oszczędności, aby móżdź istnieć. Stan ten finansów przewidzie-liśmy już w styczniu, w sprawo-zdaniu rocznem, przy układaniu budżetu, a dziś nie od rzeczy będzie sprawę tę powtórzyć i wy-jaśnić.

Tow. przy b. skromnym za-kresie działania wydaje rocznie około 6000 rb., fundusze zaś na pokrycie tych rozchodów czer-pie ze składek członków—nie-licznych i nieregularnie wpły-wających,—dalej, z ofiar osób pry-watnych, które już dwa razy był instytucyi uratowały, wreszcie i głównie z prowizyi od sprze-danych kart okrętowych, wypła-canych przez kompanie okręto-we. Gdyby ruch wychodźczy zamorski skupił się w naszym biurze, i gdybyśmy jego cyfrę przyjęli tylko na 50.000 głów rocznie, prowizye wyniosłyby z górą 100.000 rb. i byłibyśmy instytucją społeczną, mogącą rzeczywiście w znacznej mierze zadaniom naszym sprostać.

W rzeczywistości dochód nasz waha się między 2 — 8 000 rb. zależnie od jakości, oraz kierun-ku emigracyi. I tak np. ruch pa-rański szedł w znacznej części przez nasze biuro i dlatego rok poprzedni był dla naszej insty-tucyi pod względem finansowym korzystny, gdyż droga do Para-ny była dla emigrantów drogą nową, w której bez naszego lub Krakowskiej instytucyi pośre-dnictwa, emigrant rady sobie nie mógł dać; przeciwnie, podróż do Amer. Półn. jest naszej lu-dności tak dobrze znana, że ka-żdy trafi tam bez naszej pomo-cy i bez kupienia u nas karty

okrętowej. Nadto biuro nasze stawia trudniejsze warunki wyjazdu, niż tajni agenci, gdyż przedstawia potrzebę zaopatrzenia się w legalny dokument dla przekroczenia granicy, gdy tymczasem żydowscy agenci szwarcują wychodźcę i sprzedają mu za granicą kartę okrętową. Szwarcowanie przez granicę i nadwyżka w cenie karty, sprzedanej przez agenta, kosztuje zawsze drożej, niż wyrobienie paszportu, ale emigrant, zdenerwowany nagłem postanowieniem wywędrowania z kraju, nie ma czasu na wyrabianie paszportu w gubernii, (co trwa nieraz tygodnie i miesiące całe) i idzie przez zieloną granicę, nie bacząc na wyzysk, na możliwość aresztowania, nawet kuli straży pogranicznej.

Pomimo tego stanu rzeczy frekwencya w biurze naszym jest duża, codziennie kilkanaście osób zasięga informacji ustnie lub piśmiennie o kosztach podróży, przepisach emigracyjnych i t. d. i chociaż karty w biurze nie kupują — korzystają jednak z naszych informacji, adresów i druków i w ten sposób bronią się skuteczniej przed wyzyskiem agentów. Informacji udzielamy bezpłatnie, zgodnie z duchem instytucji.

Po smutnych i wprost tragicznych doświadczeniach, nabytych w Paranie, ruch parański na szczęście ustał, a z nim i nasze źródło dochodu, nadzieje zaś pozyskania dla siebie ruchu w kierunku Ameryki Północnej są i nadal zwodnicze i niepewne. Radykalną sanację tych stosunków mogłaby przynieść tylko energiczna ingerencya władz przez ukrócenie działalności — dziś bezkarnej — agentów, oraz

zaprowadzenie ułatwień w wydawaniu paszportów zagranicznych, wreszcie nadanie Towarzystwu Opieki takich praw, jakie posiada np. Libawska Kompania okrętowa, polegających na tem, że emigrant, mając w ręku tak zwaną kwalifikacyę do wyjazdu, wyrobioną w powiecie, nie potrzebuje udawać się do gubernii po paszport, lecz takowy odrazu otrzymuje w Libawie. Wtedy oprócz moralnej satysfakcyi udzielenia wychodźcy rad i wskazówek, miało by Tow. także i środki do rozwinięcia szerokiej, ogromnej działalności, której granic nawet trudno przewidzieć, zważywszy, że $\frac{1}{5}$ ludności polskiej dziś przebywa za oceanem. Tymczasem dzisiejsza rzeczywistość każe szukać innych źródeł dochodu, np. w pośrednictwie pracy dla sezonowców wewnątrz i zewnątrz kraju. Otóż źródła te są, zdaniem naszym, dla T-wa niedostępne, bo pośrednictwem wewnątrz kraju zajmuje się z powodzeniem pokrewnanam instytucya, Tow. Wzajemnej Pomocy Pracowników Rolnych, której nie widzimy powodu przeszkadzać, pośrednictwo zaś dla obywateli przechodzi nasze siły. Doświadczenia, aż zanadto częste, wskazały, że zawody ze strony ludności niesłownej i niepunktualnej, a ulegającej namowom pierwszego lepszego agenta, powodowałyby w tutejszych warunkach i przy sposobach działania, ustawą naszą podyktowanych, ciągle reklamacye, procesy i dochodzenia strat ze strony pracodawców, które przewyższałyby znacznie zarobioną prowizyę.

Wobec rozwiniętej silnej agitacyi ze strony pokątnych agentów, dalej akcji werbunkowej

berlińskiej instytucji, ujęcie ruchu robotniczego do Prus w ramy jakiejś prawidłowo funkcjonującej instytucji krajowej musi być jeszcze na długi czas odłożone.

Pozostaje jeszcze inny środek, często gdzieindziej stosowany, t. j. wypłacanie agentom prowizji od każdego zwerbowanego emigranta, któremu się kartę sprzedaje. Otóż pomijając już wzgląd na ustawę naszą, uważaliśmy zawsze ten sposób przysparzania funduszków za nader niebezpieczny i niezgodny z celami naszego T-wa. Wiemy z doświadczenia, jak i z relacji niemieckiego Tow. St. Rafaela, które od wielu lat zasłużyło sobie na najzaszczytniejszą opinię, że wszelkie prowizye prowadzą do namawiania do emigracji i kończą się najczęściej wprost handlem ludzi. Dla tego woleliśmy zawsze pozostać na stanowisku skromnej informacyjnej i doradczej instytucji—niż narażać dobrą sławę T-wa na ewentualne oszukaństwa po za naszymi plecami się odbywające. Dla tegośmy nigdy żadnych agentów mieć nie pragnęli.

Wobec takiego stanu rzeczy, nic dziwnego że Tow. musi cofać zapomogi pismu, i po 3 latach istnienia kasować biura prowincjonalne, gdyż się one nie opłacają, słowem ścieśniać, zamiast rozwijać, działalność.

Czemu to wszystko?

Z pytaniem tem zwracamy się najpierw do siebie: Czy Tow. a ściślej mówiąc Zarząd zrobił wszystko, co do niego należało? Nie będziemy tu mówić o pracy i dobrych chęciach, które nikogo nie obchodzą, lecz o realnych korzyściach. Otóż, pomimo licznych dowodów uznania i wdzięczności ze strony wy-

chodźców, musimy odrazu powiedzieć, że można było robić znacznie więcej i znacznie lepiej, ale pod warunkiem, aby mieć budżet wydatków choćby najskromniejszy, ale zapewniony. Bez tego niepodobna rozwijać nowych gałęzi, nie wiedząc czy ich jutro zwinąć nie będziemy zmuszeni.

Pozatem działalność nasza byłaby o wiele szersza i środki znacznie większe, gdybyśmy nie stali na stanowisku często obiektywnem w udzielaniu informacji i dali się uwieść prądowi, głoszącemu, że emigracja jest zbawieniem dla emigranta i dla kraju macierzystego. To stanowisko równałoby się propagandzie wychodźstwa, do której nas ani sumienie, ani ustawa nie upoważniają.

Za gorsze lub lepsze prowadzenie powierzonej nam sprawy nie powinno się wyłącznie Towarzystwa i Zarządu odpowiedzialnością obarczać. Wszak T-wo nie jest jakimś oderwanym ciałem, lecz niejako ekspozyturą społeczeństwa, wyrazem tych myśli i uczuć, które tkwią w społeczeństwie, słowem takim jest T-wo, na jakie się społeczeństwo zdobyć chciało. Wszak każdy może być członkiem Towarzystwa, kto chce ponieść pewną ofiarę, do Zarządu również drzwi są otwarte dla każdego, kto chce pracować.

Drugim powodem stagnacji, to niedoceniecie emigracji jako sprawy ogólnonarodowego znaczenia. Zapominanie o Polakach na obczyźnie, to dobrowolne wykreślenie milionów z rzędu naszych braci. Zarzutu tego nie stawiamy jednak bezwzględnie, gdyż zupełnie zrozumiałem jest, że nas bardziej ob-

chodzą sprawy codzienne na oczach będące, które zewsząd rozpaczliwie wołają o pomoc.

Natomiast znaczną szkodę sprawie przynosi cały zastęp nieproszonych i niepowołanych doradców, którzy, zamiast się skupić w Towarzystwie, na to stworzonym, wołają na swoją rękę i na swój sposób uczyć, namawiać i wicherzyć. Zdaniem ich, emigracja to jedna z tych spraw, w której każdemu wolno głos zabierać, ratować kraj przez wskazywanie dróg — najczęściej im nie znanych lub pod specjalnym kątem widzianych. O tem, że chcąc kogoś uczyć, trzeba samemu coś naprawdę wiedzieć, że ludzie jakiejś sprawie wyłącznie oddani, muszą znać ją lepiej od dyletantów — o tem ani na chwilę nie pomyślą. Stąd tyle zdań, ilu autorów, stąd zamęt, od którego najwięcej cierpi emigrant, a za nim T-wo.

Oto w paru słowach prawdziwy stan, w jakim T-wo się znajduje i w jakim pracować musi. Nie upoważnia on jednak ani do opuszczania rąk, ani do trącenia nadziei. Przeciwnie, wierzymy mocno, że sprawa wychodźstwa siłą rzeczy zmusi społeczeństwo do zajęcia się nią gorliwiej i ofiarowania jej nowych sił, nowych ludzi.

L. G.

Stosunki robotnicze w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Najbardziej rozpowszechniony sposób zarabkowania wychodźcy polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej stanowi dotychczas jeszcze praca fabryczna. Aczkolwiek, jak to z poprzednich

artykułów moich wywnioskować było można, Polacy w Stanach Zjednoczonych posiadają swoje organizacje, dziennikarstwo, duchowieństwo, swoich adwokatów, doktorów, handlowców, nieco urzędników i szybko mnożących się rolników, to jednak praca fabryczna na długie lata pozostanie głównym i podstawowym źródłem dochodów emigranta naszego. I nie może być inaczej, emigrant bowiem polski, zwykle nie umiejący nawet czytać i nie mający pojęcia o jakiej takiej kulturze, a choćby nawet ze sfery względnie inteligentnej, przybywa do kraju obcego sobie duchem, mową, zwyczajami i stosunkami, a chociaż zazwyczaj przyjeżdża do krewnych lub znajomych, to przecież znajduje ich tak odmiennymi i traktującymi go z pewnym lekceważeniem, jako nowicyusza (green horn'a), że radby jaknajprędzej im dowieść, iż i on coś potrafi, że nie będzie im ciężarem, zawadą. Rusza przeto sam, czy w towarzystwie kogo znajomego na poszukiwanie pracy. Jeżeli ma przy sobie osobę, znającą tamtejsze stosunki, to ta utartym już szlakiem zawiedzie go do bram fabrycznych. Gdy atoli sam się wybierze, to spotka, mniej więcej, tego rodzaju warunki: handel specyficzny, w którym trudno narazie się zorientować; pracę biurową, wymagającą znajomości miejscowych stosunków, języka angielskiego i pewnego wykształcenia się, a w zawodach wolnych: adwokaturze, medycynie, weterynaryi potrzeba składać co najmniej stanowe egzamina, a to wymaga pewnego zasobu inteligencji, wysiłku pracy i nakładu pieniężnego w

celu odpowiedniego przygotowania się. W przeciwstawieniu do powyższego, emigrant znajduje zupełnie odmiennie warunki pracy fabrycznej. Więc przede wszystkim wielkie zapotrzebowanie rąk roboczych, małe lub żadne kwalifikacje zawodowe i stosunkowo dobrą zapłatę. Jeżeli te warunki skuszą częstokroć inteligentów, znających nawet język angielski, cóż dopiero mówić o naszym biednym, ciemnym, zahukanym i upośledzonym emigrancie-chłopie. Znajduje on je świetnymi, bo dają mu możliwość przyzwoitego mieszkania, ubierania się, spożywania 2—3 razy dziennie mięsa z dodatkiem taniego piwa, i pozwalają mu jeszcze na odłożenie kilku dolarów na czarną godzinę, ewentualnie na wysyłkę do domu, lub nabycie domku podmiejskiego na spłaty, albo też karty okrętowej na sprowadzenie rodziny z kraju. Czy ta praca fabryczna jest w rzeczywistości tą ziemią obiecaną, do której dążą z chłopskiej strzechy co roku bracia nasi, jak plectwo na wyraju?

Trudno na to odpowiedzieć przecząco lub twierdząco, bo ma swe złe i dobre strony, jak każda zresztą rzecz ludzka. Postarajmy się zatem rozważyć te złe i dobre strony pracy fabrycznej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, położmy je na przeciwległe szale, a czytelnik sam niech sąd o nich wyda.

Przedewszystkiem, pomimo, iż emigrantowi naszemu warunki pracy wydają się początkowo doskonałemi i zachęcającemi, to przecież w rzeczywistości jest on niemiłosiernie przez fabryki, a szczególnie kopalnie

węgla wyzyskiwany i jedynie pracowitości i wytrwałości chłopca naszego, przypisać należy, iż nie tylko pracę tak ciężką wytrzymuje, ale i niejednokrotnie zwycięsko z niej wychodzi, dobijając się powoli lepszego bytu. Wielu jednakże w połowie drogi upada i ulega następstwom pracowania oraz fatalnych warunków higienicznych. Kto czytał Uptona Sinclaira „Trzęsawisko” ten wie, co sądzić można o warunkach zdrowotnych pracy w fabrykach amerykańskich. Przytem prawodawstwo amerykańskie nie nakłada na pracodawców żadnych obowiązków co do wynagrodzenia za mogące się przytrafić w fabryce nieszczęśliwe wypadki, i procesy o odszkodowanie są zwykle długie, kosztowne i aż zbyt często bezowocne, bo sądy trzymają zazwyczaj stronę fabrykantów. Na tem jednakże polu rząd amerykański przejawia w ostatnich czasach wyęzowaną działalność, skierowaną do polepszenia i uzdrowotnienia tego stanu rzeczy.

Praca w fabrykach jest niezmiernie intensywna i wymaga wielkiego natężenia, chociaż dzień roboczy nie przenosi 8, do 10 godzin. Liczni dozorczy (formen'i) pilnują robotników i opornych lub słabszych natychmiast wydalają, płacąc należność tylko do chwili wydalenia. W niektórych fabrykach pracują od sztuki (piece work) lecz i tu dozorczy niezmiernie są wymagający. Ceny w fabrykach i warsztatach są zupełnie inne dla robotników unijnych, t. j. należących do Związków robotniczych, aniżeli dla nieunijnych. Dlatego też każdy emigrant powinien bezwarunkowo zapisać się

do odpowiedniego Związku, o ile się w jakiegokolwiek pracy wyspecjalizuje. Unijni robotnicy i rzemieślnicy zarabiają, jak następuje:

Krawcy—17—22—25 dol. tygodniowo; prasowacze do 25 dol.; szwaczki 16—27 dol.; drukarze (silna bardzo unia) 16—25 dol.; linotype'rzy (pracujący na maszynie „linotype“, składającej automatycznie wyrazy) 22 dol. a na sztuki zarabiają do 50 dol. tygodniowo, jak tego dowód dał niejaki p. Panek, pracujący w dzienniku związkowym „Zgoda“ w Chicago; — stolarze (carpenter) po 25 dol. i więcej; murarze (od 1000 cegieł) mogą wyrobić po 25—30 dol. i więcej; robotnicy konstrukcyi żelaznych (budowa domów, mostów i t. p.), bardzo dobrze płatni i poszukiwani, od 30 dol.; czyściciele szyb po 25 dol.; szoferzy od 20 i znacznie więcej; kucharze-pomocnicy (second cook) po 12—14 dol.; kucharze-szefowie (first cook) mogą brać bajońskie sumy w hotelach; maszyniści (engineers) po 20—25 dol.; palacze po 16 dol.; parobcy rolni od 20 do 35 dol. z utrzymaniem. Cow-boy'e (pastuchy bydła i koni) 25—35 do 40 dol. ale trzeba mieć własne siodło i sztucer; kobiety w hotelach do mycia podług i różnych podług od 6 dol.; służące w domach prywatnych od 5 do 20 dol. Wszystkie powyższe ceny podane są tygodniowo.

Robotnicy w fabrykach niewykwalifikowani i nieunijni pobierają dziennie po 1,25, 1,75, do 2 dol. przy najcięższych robotach. Wyjątkowo 2,50 do 3 dol.

Do tej ostatniej kategorii zaliczają się przeważnie nasi

emigranci, którzy podejmują się najcięższych robót, do jakich inne narodowości [wynajmować się nie chcą.

Pomimo jednak wszystkiego większa część emigrantów robi poważne oszczędności, składając je stopniowo do banków, i jak tylko kto uzbiera sobie jaki taki kapitalik, próbuje zaraz zakładać interes jaki na swoją rękę, lub nabywa na rozplątę dom albo grunta orne (farmę). Wszystkie tak liczne kolonie rolne w Stanach Zjednoczonych rekrutują się przeważnie z byłych robotników fabrycznych.

Józef Modliński.

Widoki dla wychodźców polskich w Kanadzie.

Liczne względy oddawna zwracały uwagę Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami na Kanadę, jako na teren, stosunkowo mało wyzyskany przez emigrację polską, a przedstawiający, o ile się zdaje, pomyślniejsze widoki, niż wiele innych. Informacje, jakie posiadaliśmy o Kanadzie, i z których niektóre podaliśmy już w „Wychodźcy“, zdawały się potwierdzać to mniemanie. W oczekiwaniu szczegółowego sprawozdania, które ma przywieźć z podróży po Kanadzie wysłany tamże delegat Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, niżej podpisany udał się w zeszłym miesiącu do Anglii i Francji, w celu zasięgnięcia między innymi, jaknajwszechstronniejszych wiadomości i przygotowania gruntu ewentualnej organizacji planowej tego wychodźstwa do Kanady, które już dziś istnieje.

Ta ostatnia sprawa pozostaje jeszcze w zawieszaniu; dane jednak, dotyczące Kanady, jakkolwiek uzyskane pośrednio, są już dość liczne, aby wyrobić sobie tymczasowe zdanie o widokach dla wychodźców polskich.

I.

Cała niemal Kanada potrzebuje robotników rolnych; nawet drobna własność bowiem osiąga tam dość znacznych rozmiarów (normalna kolonia obejmuje 160 akrów = przeszło 130 mórg), i farmerzy, jakkolwiek używają maszyn, nie zdołają się obejść bez rąk pomocniczych. Przyczynia się do tego również i ta okoliczność, że czas robót rolnych trwa mniej więcej tylko od 1 kwietnia do 15 listopada; przez 4 do 5 miesięcy zimowych w rolnictwie następuje zupełny zastój, więc wszystkie roboty wykonać trzeba przez pozostałą część roku. Wynika stąd, że robotnicy rolni są doskonale płatni w ciągu lata, na zimę zaś rzadko kiedy mogą znaleźć zajęcie, i to za nader niskim wynagrodzeniem, nie raz wprost tylko za utrzymanie. Całoroczne umowy są w zwyczajnie przeważnie tylko we wschodnich prowincjach Kanady, gdzie zapotrzebowanie rąk roboczych w czasie lata jest za to znacznie mniejsze, niż na Zachodzie, i płace niższe. Latem robotnicy rolni zarabiają przy pełnem utrzymaniu od 15 do 27 dolarów miesięcznie, w czasie żniw od 25 do 45, czasem i wyżej, zależnie od stanu urodzajów, zdolności do pracy, i od okolicy. Jeżeli zaś wynagrodzenie wzrasta ze wschodu na zachód, to rozumie się, że tem drożej kosztuje podróż

z Europy do miejsca pracy; wprowadzie w razie wyjątkowego zapotrzebowania, w czasie żniw, rząd przewozi bezpłatnie robotników ze wschodnich prowincji do zachodnich, ale w normalnych warunkach robotnicy, zwłaszcza imigranci, muszą całą podróż opłacać sami. Nowi przybysze najłatwiej znajdują pracę za pośrednictwem agentów rządowych w Winnipeg (Manitoba). Dojazd do Winnipeg od portu kosztuje 18 dol.; do prowincji zachodnich — od 22 do 30 dol. (np. do Edmonton lub Calgary, Altona, dol. 26.40).

Licząc więc, że emigrant wyda na podróż od Warszawy 140 rubli, i że przez 6 do 7 miesięcy oszczędzi przeciętnie po 50 rb. (25 dol.) miesięcznie, to jest 300 do 350 rubli, łatwo zdać sobie sprawę, że wyjazd do Kanady na sezon tylko opłacić się nie może, jak się opłaca do Argentyny, gdzie podróż jest 2 do 3 razy tańszą, a płace równe, a nawet wyższe. Robotnik rolny, jadący do Kanady dla zarobku, musi tam spędzić lat kilka, odkładając z roku na rok pewną kwotę. Przy względnej taniości życia, choćby nawet w zimie nie znalazł pracy, wyda tylko część zaoszczędzonych przez lato pieniędzy. Taki tryb życia byłby, oczywiście, bez porównania zdrowszy, niż ten, jaki np. robotnicy pędzą w Stanach Zjednoczonych, w fabrykach i kopalniach; młodzi ludzie zwłaszcza mogliby korzystać z zimy, w którejby pracy nie znaleźli, dla kształcenia się ogólnego i zawodowego, co wobec znakomych urzędzeń kulturalnych Kanady i względnie wysokiego

poziomu środowiska jest znacznie ułatwione. Nie można się jednak ludzić, że nasz emigrant pojmie, jakie pole do kulturalnego rozwoju otwiera się tutaj przed nim. Będzie on zawsze starał się jaknajwięcej zarobić w jaknajkrótszym czasie, więc będzie dążył zawsze do tego, aby dostać zajęcie całoroczne. W każdym razie jednak ta łatwość znalezienia pracy sezonowej na roli ma dla naszego wychodźcy doniosłe znaczenie. O ile tylko przyjedzie w odpowiednim czasie, jest pewny, że nie będzie musiał wyczekiwać miesiącami na zajęcie, jak to się nieraz zdarza przyjeżdżającym do Stanów Zjednoczonych: wie, że na samym wstępie będzie miał z czego żyć, zapozna się tymczasem z miejscowymi warunkami i językiem i zbierze dość pieniędzy, aby dać sobie radę w dalszym ciągu, lub też w razie, gdyby mu się w Kanadzie nie podobało, powrócić do kraju, chociaż bez znacznych zysków, ale i bez strat.

Podobne znaczenie zajęcia wstępnego mają tego rodzaju roboty, jak przy budowie kolei. W roku bieżącym np. rozeszła się u nas wieść, że rząd Kanadyjski potrzebuje 60,000 robotników do tych robót. Wieść okazała się w części prawdziwą, ale zapotrzebowanie dotyczyło jedynie jakichś 2—3 miesięcy, i wobec tego, oczywiście, jechać specjalnie na te roboty nie było warto.

Jednakowoż zaznaczyć należy, że warunki z roku na rok się polepszają. Wraz z rozwojem przemysłu kanadyjskiego zapotrzebowanie na robotników niewykwalifikowanych stale

wzrasta, i coraz więcej jest widoków, że robotnik na cały rok znajdzie zajęcie. Podczas gdy dotychczas w zimie pozostawały prawie tylko roboty przy wyrębie lasów, do których też zresztą wymagano pewnych kwalifikacji, obecnie coraz nowe otwierają się pola pracy na fabrykach, a zwłaszcza w kopalniach. W każdym razie jednak dla robotników fabrycznych i górniczych przez długie lata jeszcze Stany Zjednoczone pozostaną głównym terenem.

Nader pomyślne są widoki dla robotników wykwalifikowanych. Podajemy listę urzędową tegorocznych zapotrzebowań, według miejscowości, — ze wschodu na zachód:

Toronto: mechanicy;

Petrolia: kowale;

Sudbury: górnicy, robotnicy leśni;

Port Arthur: mechanicy;

Owen Sounds: cukiernicy, mechanicy, stolarze;

Winnipeg: wszystkie zawody;

Regina: cieśle, ceglarze, kamieniarze;

Edmonton: robotnicy budowlani;

Calgary: robotnicy wszystkich zawodów;

Vancouver: mechanicy, robotnicy budowlani, ogrodnicy, górnicy.

Smith Falls: giserzy, maszyści, cieśle, kowale;

Montreal: mechanicy, cieśle, stolarze, ceglarze;

Nova Scotia: fachowcy do wyrobów stalowych, górnicy, ogrodnicy.

New Brunswick: górnicy, robotnicy leśni.

Prócz tego, niemal wszędzie jest zapotrzebowanie na służbę domową, do takiego stopnia,

że służba, zwłaszcza przybywająca w lecie, nie potrzebuje pieniędzy na okazanie przy wyładowaniu.¹⁾ Przybliżoną wysokość płac podaliśmy już dawniej. Warunki pracy (długość czasu, obchodzenie się, utrzymanie i t. d.) są na ogół lepsze, niż w Stanach Zjednoczonych. Emigranci muszą jednak pamiętać o tem, że sposób pracy jest tam inny, niż w Europie, nawet narzędzia odmienne, i zanim robotnik się obezna z miejscowymi wymaganiami, będzie mu trudniej o zajęcie, i mniejsze pobierać będzie wynagrodzenie.

Najodpowiedniejszym czasem do przyjazdu jest marzec — kwiecień. W każdym razie jednak dobrzeby było, aby wychodzący w swoim własnym interesie zwracali się do Towarzystwa Opieki, które im wskaże najodpowiedniejsze miejsca i ułatwi znalezienie zajęcia.

Naogół zaś zdaje nam się, że Kanada jest dobrym terenem zarobkowym, ale nie dla masowej emigracji, lecz dla jednostek, posiadających odpowiednie warunki, aby tam liczyć na powodzenie.

II.

Immigracja osadnicza jest jednym z głównych przedmiotów zainteresowania rządu kanadyjskiego. Pojmując, że rozwój kraju zawisł w pierwszym rzędzie od wzrostu gęstości zaludnienia i rozwoju rolnictwa, rząd nie szczędzi wysiłków i pomocy osadnikom. To też przyznać trzeba, że sama orga-

nizacja kolonizacji w Kanadzie nie pozostawia nic do życzenia.

Urzędy immigracyjne w Europie i w Kanadzie samej starają się jaknajdokładniej informować przyszłego osadnika, ułatwić mu wybór miejsca i orientację w warunkach. Swoją drogą, nawet one polecają imigrantowi nie brać ziemi zaraz po przyjeździe, lecz w pierwszym roku postarać się o zajęcie na farmie, jako robotnik, aby się tym sposobem praktycznie obeznać z metodami kanadyjskiej gospodarki, różniącej się znacznie od europejskiej. Istotnie jest to najodpowiedniejsza droga, zważywszy, że imigrant tym sposobem, jak mówiliśmy, prócz znajomości gospodarki zdobywa znajomość języka, praw, obyczajów, stosunków miejscowych i t. d., a wreszcie powiększa swój kapitał.

Homestead'y, t. j. działki gruntu dla osadników, są rozdawane, jak to już pisaliśmy poprzednio, w prowincjach Manitoba, Saskatschewan i Alberta, czyli na Zachodzie kanadyjskim. Przy wyborze homestead'u kierować się należy urodzajnością ziemi, bliskością kolei, miasta, wody, lasów lub kopalń węgla, i dalej gęstością zaludnienia, wreszcie — i przedewszystkiem — klimatem.

Ziemia w Zachodniej Kanadzie, według ogólnej opinii, jest raczej dobra, jakkolwiek nie dorównywa urodzajnością ziemiom brazylijskim, wykarczowanym z pod dziewiczego lasu. Ma ona jednak tę wyższość dla osadników, że łatwiej nadać się do uprawy, i w pierwszym roku można używać sprzę-

¹⁾ Wogóle warunki wstępu są takie same, jak w Stanach Zjednoczonych, i wymagane okazanie 50 rb. (w czasie od listopada do lutego 100 rb.)

żaju, a tem samem szybko doprowadzić znaczną przestrzeń do stanu kultury. Odległość rozdawanych przez rząd homestead'ów od miast i kolei jest zwykle znaczna, ponieważ blisko miasta homestead'y są najwcześniejsze rozebrane, kolej zaś dopiero wtedy przechodzi przez daną okolicę, gdy ta jest zaludniona; nie stanowi to jednak takiej przeszkody do zbytu, jak w Brazylii, wobec tego, że kraj jest płaszczyną, w znacznej części bezleśną, i drogi dobre.

Na niektórych działkach znajduje się las, dostarczający budulcu i drzewa opałowego; w przeciwnym wypadku rząd wydziela budulec, drzewo opałowe lub węgiel prawie darmo. Rozumie się jednak, że trzeba samemu to drzewo i węgiel przywieźć, i wobec tego sprawa odległości nabiera dużego znaczenia. Bliskość wody (nie mówiąc o studniach, których wiercenie jest nader udoskonalone) jest ważna w okolicach, gdzie ilość opadów atmosferycznych niewielka; umiejętnie urządzone system irygacji niepospolite ma tam znaczenie dla gospodarstwa.

Rozumie się, że imigranci powinni się starać o to, aby zamieszkać w możliwie zaludnionej okolicy. Osamotnienie odbija się szkodliwie zarówno na materyalnej, jak na moralnej stronie życia kolonisty; najważniejszym bodaj powodem niezadowolenia, jakie objawiają niektórzy kanadyjscy osadnicy (ponieważ niema kraju, gdzieby się wszystkim powodziło) jest właśnie wybór homestead'u w pustej jeszcze okolicy.

Klimat Zachodniej Kanady (pomijając, oczywiście, północ-

ną jej część, której się nie kolonizuje) jest zbliżony do naszego, tylko suchszy, lato gorętsze, zima mroźniejsza, wiosna i jesień trwają krócej. Średnia temperatura wynosi w stopniach Celjusza:

	Roczna	Styczeń	Lipiec
Winnipeg	0,6	-21,7	18,7
Prince Albert	-0,3	-20,4	16,7
Battleford	1,8	-16	19
Edmonton	2,3	-14,2	16,5
Calgary	3	-10,9	15,7

Najwyższa i najniższa temperatura przeciętnie z różnych lat:

Winnipeg	36,7	-39,5
Prince-Albert	31,6	-41,9
Edmonton	31,7	-30,7
Calgary	32,6	-40

Roczna ilość opadów atmosferycznych wynosi:

Winnipeg	543
Prince-Albert	330
Edmonton	332
Calgary	379

Dla porównania dodajemy, że w Królestwie Polskiem wynosi przeciętnie około 540 mm., a w gub. Kowieńskiej od 700 do 800.

Śnieg wypada zwykle w połowie listopada i pozostaje do drugiej połowy marca. Na wiosnę i na jesieni nierzadkie są nocne przymrozki.

Czas uprawy zaczyna się w kwietniu, coraz częstsza jednak jest uprawa jesienna. Żniwa odbywają się w sierpniu. Sieją głównie pszenicę, jęczmień i owies.

O warunkach objęcia homestead'u pisaliśmy już w poprzednim numerze. Koszta niezbędne urządzenia farmy wynoszą:

	Doł.
Dom i stajnia	150
Urządzenia domu	30
Wóz	60
Uprząż	20 do 45

Pług	15 do 20
Brona	14
Nasiona	20
Para wołów	120 do 150
albo para koni	150 do 250
Krowa	35
Swinia	5
Drób	5
Pasza	25
Życie na 1 rok	60

Wobec tego, że samo poszukiwanie homestead'u wymaga pieniędzy, bez 500 — 600 dolarów najskromniej nawet zagospodarować się nie można. Nie liczymy tu wydatków takich, jak żniwiarka, kosiarka, siewnik, bez których tam rzadko gospodarują; potrzeba właściwie nie pary wołów *albo* pary koni, ale pary wołów *i* pary koni, aby móżd odrazu znaczniejszy obszar wziąć pod uprawę. Ponieważ zaś podróż przeciętnej rodziny, złożonej z ojca, matki i 3 dzieci obliczać należy na 200 do 250 dolarów, więc najmniej około 750 do 850 dol. (1500—1700 rubli) posiadać musi emigrant, aby się móżd w Kanadzie osiedlić i liczyć na stosunkowo szybkie powodzenie. Rozumie się, że nasi wychodźcy najczęściej nie posiadają dość pieniędzy, aby się tam urządzić. Powstaje więc pytanie, czy i w jakich warunkach wychodźca ubogi może w samej Kanadzie zebrać potrzebny kapitał, aby móżd wziąć homestead. Zważywszy to, co mówiliśmy poprzednio o trudności znalezienia zajęcia na zimę dla robotników rolnych, licząc że wychodźca rolnik wyda na swe utrzymanie w ciągu zimy $\frac{1}{3}$ tego co zarobił w lecie, musimy zdać sobie sprawę, że w większości wypadków 5—6 lat pracy zależnej potrzeba

będzie robotnikowi rolnemu bez rodziny, zanim zbierze sumę, potrzebną do objęcia homestead'u; robotnik z rodziną potrzebowałby znacznie więcej czasu, gdyby nawet jego żona a może i dzieci coś zarabiała.

Tak przedstawia się sprawa w teorii. W praktyce wiemy, że często emigranci Polacy, Rusini, Rosyianie w znacznie krótszym czasie, nieraz w rok po przyjeździe, z nieznacznym kapitałem obejmują homestead'y, i ostatecznie dają sobie radę. Trzeba to położyć na karb wyjątkowego braku potrzeb, i z drugiej strony niezwyklej pracowitości i wytrzymalności. Osadnicy tacy chodzą na wyrobek do bliższych i dalszych sąsiadów, ograniczają na początek do minimum ilość narzędzi gospodarczych, mieszczą byle jak, żywią się byle czem, i kosztem niesłychanych wysiłków i umartwień dochodzą do stopniowego poprawienia swego losu. Tego zjawiska jednak nie możemy uważać za normalne, zwłaszcza że przy obliczaniu kosztów urządzania gospodarki braliśmy już pod uwagę stopę ekonomiczną naszego kolonisty; kolonista Anglik, Francuz, Holender, Szwajcar, Niemiec włoży w swą farmę dwa i trzy razy tyle, ale bez porównania szybciej uzyska rezultaty, i te rezultaty będą bez porównania większe.

Dla ogólnej oceny emigracji kanadyjskiej dodać musimy, że dziś wychodźcy polscy, nie stanowiący zwartych mas, jak w Stanach Zjednoczonych, wynaradawiają się szybko, jakkolwiek rząd kanadyjski pozostawia

wszelką swobodę narodową i religijną.

Wielu z nich, osiadając wspólnie z Rusinami, ruszczy się. Pod względem ogólnokulturalnym, a zwłaszcza moralnym, Kanada wywiera na nich jednak daleko lepszy wpływ, niż Stany Zjednoczone — nie mówiąc już o Ameryce Południowej.

Dr. Floryan Żnaniński.

Wychodźstwo polskie w Szwajcaryi.

Korespondencya własna.

W czasie pobytu mego w Szwajcaryi miałem sposobność przyrzeć się robotnikom polskim, których los zagnał w tamte strony. Wychodźstwo na zarobek za granicę ma dla nas doniosłe znaczenie, i przeto nie od rzeczy będzie wspomnieć słów parę o rodakach naszych przebywających w Szwajcaryi.

Ogólna ich liczba wynosi około 400. Wciągu ostatnich trzech lat liczba ta ani się nie zmniejsza, ani też powiększa. Robotników tych można podzielić na cztery grupy. Do pierwszej zaliczyć należy robotników, którzy gospodarstwa swoje albo wydzierżawili, albo sprzedali lub utracili. Do kategorii drugiej należą wieśniacy i wieśniaczki, wynajmujący się stale do pracy na roli. Grupę trzecią stanowią robotnicy miejscy. Ci najmują się do wszelkich robót; najczęściej pracują po fabrykach, drenarniach, cegielniach, przy kanalizacjach i budowie domów, słowem wszędzie, gdzie tylko nadarza się im jakakolwiek robota, z wyjątkiem robót rolnych. Wreszcie istnieje grupa czwarta, rzemieślników zawodowych, jak

naprzykład: krawców, szewców, stolarzy, ślusarzy, piekarzy i t. p. Przeważna większość pracuje na roli, inni w fabrykach, jednostki w warsztatach rzemieślniczych.

Głównem ich siedliskiem jest Witzwil, majątek państwowy w kantonie berneńskim. Pracuje tu kilkadziesiąt kobiet, dziewczyn i mężczyzn z Królestwa przy uprawie buraków cukrowych. Kobiety pobierają dziennie 1. fr. 60 cts., mężczyźni po 2 franki dziennie, a na akord po 5 fr. Pracują od 4 rano do 9 wieczorem. Oprócz płacy dziennej dostają mleko, ziemniaki i kawę. Mieszkanie mają dobre. Jest to zazwyczaj dom piętrowy, oświetlony elektrycznie, zawiera kuchnię i mieszkanie oddzielne dla kobiet, a oddzielne dla mężczyzn. Każdy ma łóżko i siennik. Sezon robotniczy zaczyna się tu w połowie marca i kończy w połowie listopada.

W innych koloniach, jak naprzykład: Dompierre, Freschels, Burren, Greuchen, Münchemir pracują małe grupki kobiet i mężczyzn przeważnie z Królestwa, jednostki tylko z Galicyi i Poznańskiego. Warunki lud nasz roboczy ma tu bardzo ciężkie. Pracują od 5 rano do 11 w nocy i marnie są żywieni.

W pobliżu Szafuzy, w Thayngen, w cegielni akcyjnej pracuje około 60 mężczyzn, kilkunastu z Poznańskiego, reszta z Galicyi i Królestwa. W Allschwill, pod Bazyleją, w cegielniach Polaków jest około 60 i kilkudziesięciu Rusinów. Starsi dostają 42 fr. miesięcznie, chłopcy do lat 15, oprócz całodziennego utrzymania, po 1 franku dziennie. Idąc dalej, z drugiej

strony pod Bazyleją w Münchensteinie pracuje w cementowni kilkunastu Polaków z Królestwa. Zarabiają tu od 4 do 6 franków dziennie. Na życie wydają 1 fr. 20 cts. dziennie, na mieszkanie 6 fr. miesięcznie, oszczędzają więc do 100 fr. miesięcznie. Robotnicy zaś rolni w ciągu sezonu potrafią zarobić przeciętnie od 220 do 270 a nawet i do 300 franków.

Reszta Polaków już nie z ludu włościańskiego, lecz z klasy robotniczej—miejskiej, rozrzuciona jest po całej Szwajcarii. Zarabiają narówni ze Szwajcarami, otrzymują więc od 5 do 6 franków dziennie. Niektórzy z nich zarabiają i więcej, ale ci należą do wyjątków. Są to przeważnie rzemieślnicy zawodowi, jak na przykład: krawcy, szewcy, stolarze, ślusarze i t. p. Rzemieślnikowi jednak trudno tu znaleźć zarobek, być może dlatego, że Polaków wogóle Szwajcarzy nie lubią. Wobec tego rzemieślnicy, wkrótce po przybyciu do Szwajcarii, zmuszeni są szukać gdzieś zarobku; wyjeżdżają więc ztąd najczęściej do Anglii.

Staralem się zbadać przyczyny niechęci Szwajcarów do Polaków. Oto do roku 1905 każdy z przybyłych Polaków otrzymywał zaraz robotę i mile był przyjmowany przez Szwajcarów. Stosunek ten trwał jeszcze w początku 1906 roku, gdy zaczęło się już nie pojedyncze, ale masowe wychodźstwo za granicę. Przyjmowano tu Polaków nieomal jako dzielnych bohaterów wolności.

Niestety, sympatya ta prędko ostygła i musiała ostygnąć, bo ci rewolucyjni Polacy niezbyt pięknie postępowali w gościn-

nym kraju wolnej Szwajcarii. Używali wolności szwajcarskiej w całej pełni na to, aby urządzać burdy, pijatyki, awantury. Mało tego. Każdy z Polaków miał wówczas kredyt otwarty, więc korzystając z tego zaufania, mieszkali na kredyt, brali z magazynów, sklepów i sklepików na kredyt. Brali tak wszystko, co się dało i ile się dało, a gdy więcej już brać nie można było, wyjeżdżali w tajemnicy. Od tej pory Polak jest przez Szwajcarów nisko ceniony, zaufania i wiary nie znajduje, i przyszło nawet do tego, że w niektórych kantonach ludność miejska starała się u władz swoich uzyskać prawo, zabraniające Polakom pobytu. Dziś Polakowi, którego tu nazywają pogardliwie „Russe“, czyli Moskalem, nie wolno przebywać w Szwajcarii bez paszportu zagranicznego. Kiedy to się skończy i czy się skończy, trudno orzec, bo niechęć jest wielka.

Opiekę nad tymi wychodźcami mają dzisiaj stowarzyszenia akademickiej młodzieży polskiej w Zurychu i księża studenci z Fryburga. Ci ostatni dość często nawiedzają kolonie robotnicze, głoszą nauki, odprawiają nabożeństwa i t. p. czynią posługi religijne.

Na ostatniem, przedwakacyjnem zebraniu Polskiego Towarzystwa Naukowego w Genewie, Senat Grunwaldzkiej Akademii Umiejętności między innemi uchwalił w roku przyszłym założyć również i parę stacyi naukowych niższych, w miejscowościach gdzie liczniej przebywają Polacy-robotnicy.

Celem tych stacyi będzie: urządzenie różnych pogadanek i odczytów popularnych, dostar-

czanie książek i elementarzy robotnikom polskim i nauka czytania, pisania i rachowania. Zadanie to wypełniać będą wędrowni nauczyciele.

Myśl piękna i zbożna! Czy jednak da się w czyn wprowadzić, trudno przewidzieć, bo Tow. Nauk. i założona przez te T-wo uczelnia grunwaldzka, toskromna instytucja, biedna, dopiero co powstała, a nie posiada jeszcze takich funduszy, które mogłaby rozporządzać dowolnie. Jest jednak nadzieja, że społeczeństwo, pojmując doniosłe znaczenie działalności Akademii, przyjdzie jej z pomocą. Dziś łożą fundusze na wszystko tylko założyciele Akademii. Dotąd bowiem nie wpłynęły jeszcze żadne ofiary — żadne zapisy i dary. A szkoda wielka, bo idea jest wzniosła i zasługująca ze wszech miar na poparcie.

D-r Mieczysław Dukszta.

Korespondencja.

Colonia Iwahy Theresina 18/7 912.

Do Towarzystwa Opieki Nad Wychodźcami w Warszawie.

Szanowni Panowie!

Dopiero 17 Lipca r. b. otrzymałem drugie Wasze pismo oraz 7 numerów „Wychodźcy Polskiego“; poprzednio wysłane numery widocznie zaginęły na poczcie brazylijskiej — gdyż ja takowych nie otrzymałem.

Na naszej kolonii o tyle warunki zmieniły się na lepsze, iż został usunięty ze stanowiska „feitor geral“ smutnej sławy p. Babinecki — a na jego miejsce przeznaczono aż dwóch, niejakiego p. Kowalczuka, Rusi-

na z Galicyi, człowieka poważnego i przyzwoitego, oraz Brazyliana p. Chico Chagos, cieszącego się również bardzo dobrą opinią i bardzo lubianego przez naszych przychodźców. Owi panowie obowiązki swoje pełnią dopiero od dwóch tygodni, a już względnie jak na tak krótki czas wywieźli sporą ilość rodzin na loty, a chociaż tam niema domków, tylko nędzne budki, to jednakże w porównaniu z barakiem będzie im tam o wiele lepiej. Mają chociaż czyste powietrze i warsztat do pracy, przytem, o ile nowy kolonista jest pracowity i zabiegliwy, to w krótkim czasie może z takiej budki uczynić względnie znośne mieszkanie na czas, dopóki sobie nie wystawi domu, bo komisya nadal nie będzie domów budować. Domy muszą koloniści stworzyć własnymi siłami, no i naturalnie nie będą za takowe płacić. Materiału nie brakuje. Las szumi dookoła, a i w „capoeirach“ leżą stare drzewa, potrzeba tylko trochę dobrych chęci, a niestety, nasi przychodźcy, z małymi wyjątkami, zwłaszcza ci z gubernii Siedleckiej i Lubelskiej, są nadzwyczaj leniwi, apatyczni i bez żadnej samodzielności. Tak są przyzwyczajeni do rządów ekonomy, iż w braku tegoż, robią wrażenie stada owiec, pozbawionych pasterza. Każdy idzie samopas, żadnej łączności i jakiegokolwiek dążności do pracy wspólnej — gromadzkiej, przytem zawistni i zazdrośni — umieją tylko biadać i narzekać na swoje położenie, a w części przez swoją niezaradność i brak zgody sami temu są winni. Na wszelkie usiłowania, aby ich skłonić do wspólnej pracy przy tarcu

drzewa, stawianiu domów, „rosowaniu“ lasów i t. p., przyznają rację, kiwają głowami, a gdy się rozejdą, każdy idzie, jak szedł dotychczas, pojedynką. Dobre rady nic tu nie pomogą, potrzeba jest silnej ręki, któraby nimi kierowała i napędzała do pracy, a na kolonii Terezina ani śladu podobnych usiłowań. Wydadzą koloniście narzędzia, nasienie, i na tem koniec, wcale się nie troszczą, czy nasienie odpowiednio zostało użyte, a i jakość nasienia, wydawanego kolonistom, pozostawia wiele do życzenia: np., rozdano nasienie żyta, kapusty i t. p., które wcale nie powschodziło.

Na tak dużej kolonii powinno być urządzone jakieś pole doświadczalne, chociaż na małą skalę, gdzieby koloniści mogli czerpać wzory i praktyczne rady, przytym każde nasienie powinno być dopiero wypróbowane, nim zostanie rozdane kolonistom. Złe nasienie naraża ich na daremną pracę i zniechęca wogóle do takowej. A nie wiele tu trzeba, bo tylko sumiennego spełniania obowiązków przez wszystkich urzędników komisji kolonizacyjnej, czego dowodem jest kolonia Prudentopolis, którą zarządza niejaki p. Lech, człowiek bardzo energiczny i przedsiębiorczy. Umiał sobie dobrać również takich pomocników, no i rezultaty są dość zadawalające. W barakach kolonii Prudentopolis panuje rygor prawie że wojskowy. Rano skoro świt pomocnik p. Lecha, niejaki p. Jurgiel-wicz daje hasło do wstawiania na trąbce, wobec czego wszyscy zdrowi muszą wstawać, przygotować śniadanie, a następnie, na drugie hasło, udają się do pracy, bo nic tak nie demora-

lizuje emigrantów, jak próżniactwo w barakach. Wychodźców długo w barakach nie trzymają—przeciwnie, starają się wywieźć ich jaknajprędzej na loty; jednocześnie wydają narzędzia i nasiona, udzielają wskazówek i skrupulatnie pilnują aby wszystko jak należy i w właściwym czasie było wykonane. Kolonistów leniwych, niechzących pracować na lotach, zabierają z powrotem do baraków, a na ich miejsce obsadzają innych, chcących pracować. Zdecydowanych leniuchów po kilkakrotnej próbie wydalają zupełnie z kolonii. To też kolonia, chociaż dopiero w zaczątku, sprawia wrażenie bardzo dodatnie. Przed każdą budką jest mały ogródek z zielonej kapustą i innymi warzywami, w pobliżu budki rzuca się w oczy żyto, pszenica, a nawet i jęczmień. Na naszej kolonii, t. j. na Terezynie, zupełnie inaczej. Ogródków bardzo mało, jak również żyta i pszenicy. Jest to głównie wina zarządu, bo tych ludzi trzeba zmusić do pracy; pozostawieni własnej woli bardzo mało zrobią, a niektórzy prawie nic, i w końcu, przeklinając Paranę, będą uciekać, nie bacząc, że w części sami są winni swej biedzie.

Ja wcale nie jestem zwolennikiem Parany i daleko lepiejby było aby ci biedni i niezaradni ludzie siedzieli w domu, pełnili służbę fernali i parobków za 30 rubli i 12 korcy wynagrodzenia rocznego. Oni nawet nie umieją ocenić tej wolności, z jakiej tu mogą korzystać. Niewola zabiła w nich ludzi, i chętnie oni wszyscy wróciliby na dworskich pastuchów, aby tylko nie potrzebować myśleć—bo za nich myślał ekonom. Powtarzam

że Parana jest szczerą matką, ale tylko dla ludzi dzielnych i pracowitych. Poznałem tu w głębokich puszczech Polaków, z ziemi Warszawskiej, Kieleckiej, Poznańskiej i Śląskiej, poszli sami w głębokie lasy, pozbawione dróg i prawie że wszelkiej komunikacji, i tu ciężką i znojną pracą wywalczyli sobie byt niezależny i dostatni. Wracając jeszcze do kolonii Prudentopolis, przytoczę przykład na którym powinni się wzorować dyrektorzy wszystkich kolonii w Paranie. Na wszystkich nowo zakładanych koloniach, gdy już wiadomo, że do danej kolonii mają wkrótce przybyć koloniści, zarząd tejsze przystępuje do budowy prowizorycznego baraku; przeważnie takowy wykończają już po przybyciu pierwszej partii emigrantów. Gdy się już bardzo zapelni, przychodźcy zaczynają robić drogi i budować prowizoryczne mosty, na liniach, na których mają być osiedleni. Gdy już drogi w części gotowe, zaczynają z żółwim pośpiechem stawiać domki i następnie osadzają tam ludzi, a drogę robi się dalej, i ludzie również chodzą coraz dalej na robotę. Odległość z czasem tak się zwiększa, iż robotnicy nie mogą przychodzić do domu na noc, przychodzą tylko na niedzielę, pozostałe 6 dni 6 i nocy spędzają w lesie, gdzie śpią wprost na ziemi, od deszczu chronią się pod drzewa lub stawiają szalasy z liści i gałęzi. Rzecz prosta, że to ich nie zabezpiecza przed deszczem i zgnębą wilgocią, to też skutkiem takiego systemu ludzie chorują na reumatyzm i inne dolegliwości, które w większości wypadków kończą się śmiercią, zważywszy, że jak np. dotąd nie ma w Terezynie lekarza — jest tylko aptekarz i tenże speł-

nia również funkcje lekarza! — Lekarz niby jest w kolonii, mieszka w Iwai (Miguel Calmen), odległej od Terezyny o dziewięć mil drogi. Komentarze zbyt czyste. Na kolonii Prudentopolis przyjęto inny system przy budowie dróg, a mianowicie: Gdy już jest przecięta linia pod drogę, z grubsza takową oczyszczają, aby tylko można przewieźć kolonistów do postawionych zawczasu budek, (daleko porządniejszych, jak w Terezynie, bo budki są zaopatrzone w ściany, drzwi i dziury, imitujące okna, zamykane okiennicami, na Terezynie zaś stawiają budki bez ścian, jest tylko dach na czterech słupkach). Kolonista otrzymuje zaraz narzędzia i nasiona, a w wolnych chwilach robi drogę przy swoim locie. Nie traci więc czasu, jest ciągle blisko domu i nocuje w domu. Kolonia Prudentopolis, chociaż także pozostawia trochę do życzenia, w każdym razie jest najlepiej administrowana ze wszystkich kolonii, istniejących w Paranie, czego najlepszym dowodem jest, że ludzie są zadowoleni i jakoś prawie że nie uciekają.

Na kolonii Prudentopolis jest obecnie nowo przybyłych 200 rodzin polskich, 10 rusińskich i 30 niemieckich z Rosji. Na Terezynie: 200 rodzin, wyłącznie polskich z ziemi siedleckiej i lubelskiej. Wostatnich tygodniach przeszłego i b. m. zaczęli napływać znowuż nowi przychodźcy. Baraki w Rio de Janeiro, Parana-gua, Kurytybie i Ponta - Grossie są podobno przepelnione. Widocznie t. zw. księdzu Anuszo-wi udała się nowa naganka. W Brazylii handel żywym towarem wielce popłaca. I znowuż dzięki takim apostołom popłyną całe rzeki łez, pozostanie setki

sierot, które pójdą na tułactwo, gdyż na żadnej kolonii niema wcale lotów gotowych. Ci, co teraz jadą, będą musieli na takowe czekać jakieś kilka miesięcy. Pomiary idą żółwini krokiem. Warunki kolonizacyjne, pomimo nawet pewnych usiłowań rządu, niema nadziei, aby się zmieniły na lepsze. Z małym wyjątkiem brak jest poprostu ludzi, którzyby umieli i chcieli sumiennie administrować tak skomplikowaną sprawą, jaką jest kolonizacja. Projekt, podjęty przez pp. aby wychództwo rolne skierować do St. Z. A. P. jest bardzo szczęśliwy. Tam nasi ludzie dużoby się nauczyli — tu zaś w Paranie, chociaż byt zdobyć nie jest tak bardzo trudno, lecz wszyscy dziczeją, nie idą naprzód, a przeciwnie, cofają się wstecz.

Zapewnie S. p.p. otrzymali kopię skargi kolonistów, wysłanej do redakcji „Polaka“, niestety, ów organ „polski“ nie raczył tego wydrukować. Nasza prasa „polska“ w Kurytybie nie ma czasu zajmować się podobnemi drobnostkami. Sławetne nasze dwa organy zajęte są polemiką na tle religijnym i osobistym. Zapewnie panowie ją znacie — to mnie zwalnia od dalszych objaśnień, dodam tylko, że pono byłoby lepiej — gdyby jej wcale nie było, bo tylko ogłupia i tak już ciemnych ludzi i sieje nianawiść.

Bawiła tu u nas przed tygodniem komisya rewizyjna t. j. p. Correin, konsul austriacki z sekretarzem i jeszcze paru panami. Bawili tu około trzech dni, przejechali się trochę po kolonii i pojechali dalej.

Z poważaniem
Zygmunt Malanowski.

KRONIKA.

Roboty sezonowe w Argentynie.

Na podstawie zdobytych licznych informacji ogłosiło Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami w pismach komunikat, wskazujący na możliwość dobrych zarobków w czasie zniw w Argentynie. Wobec tego, że w roku bieżącym sprawa wyjazdu została poruszona wcześniej, niż w roku zeszłym, oraz wobec niezwykle niskich cen przejazdu okrętem (85 marek), widoki przedstawiają się pomyślnie. Przytem, w organizacji pośrednictwa pracy zaszły pewne ulepszenia i Towarzystwo uzyskało zapewnienie, że wszyscy wysyłani przezeń robotnicy pracę znajdą. Skutek ogłoszonego komunikatu był jednak dziwny. Chociaż Towarzystwo wysyła taniej, niż jakikolwiek tajny agent prywatny; chociaż daje ono ułatwienia i pomoc, jakich nikąd wychodźcy oczekiwać nie mogą; za pośrednictwem Towarzystwa wyjechało ogółem 19 ludzi, tymczasem o informacje zgłaszały się setki osóbście lub listownie, później zaś wyjeżdżali za pomocą tajnych agentów. Przez Illowo, według otrzymanych przez nas informacji, przejeżdżało tygodniowo około 500 Polaków, Białorusinów i Litwinów. W tych warunkach istotnie działalność Towarzystwa w kierunku otwierania nowych terenów zarobkowych jest nader utrudniona. Gdyby ludność była więcej uświadomiona i nie dawała się obalamuwać spekulantom, Towarzystwo mogłoby utrzymywać kontrolę nad ruchem wychodźczym i organizować ten ruch z jaknajwiększą korzyścią dla emigrantów. Tymczasem ciemnota ludu sprawia to, że To-

warzystwo, ogłaszając pomyślne informacje o warunkach pracy w jakimś kraju, daje broń w ręce różnym handlarzom ludźmi, samo zaś nie może owładnąć wywołaniem przez siebie wychodźstwem i nie jest w stanie uzyskać dla niego takich warunków przewozu i pracy, jakieby osiągnęło wtedy, gdyby wszyscy jedynie za jego pośrednictwem wyjeżdżali.

Coprawda w pewnym stopniu nie jest tu bez winy prasa, która zbyt mało uwagi wychodźstwu poświęca i zbyt mało uświadamia lud w tym kierunku.

W państwach, dbających o los wychodźców, rząd obejmuje kierownictwo nad emigracją i opieką; tak jest np. we Włoszech.

U nas, w braku wszelkiej inicjatywy i opieki rządowej, zadanie to, wraz z wielu innymi, daje się rozwiązać jedynie na drodze społecznej—a bez czynnej i stałej pomocy prasy jest to niemożliwe.

W ostatniej chwili nadeszła wiadomość, że cena przejazdu do Argentyny została podwyższona i kosztuje od Warszawy 96 rubli. Przytem emigranci, wyjeżdżający obecnie, znajdują się w gorszym położeniu, niż ci, którzy już pojechali.

Rozpaczliwe położenie wychodźców w Syberyi.

Otrzymujemy list od pana A. Makowskiego z Krasnojarska z nader smutnymi wiadomościami o życiu osadników syberyjskich. Załączając wycinek z Gazety „Sibirskaja Żizń”, którzy poniżej drukujemy w tłumaczeniu, pisze p. Makowski: „W każdej wychodzącej tutaj gazecie spotyka się korespondencje z zamieszkałych przez wychodźców miejscowości. Wszędzie głód, niedola. Kto ma za co, powraca bezzwłocznie. Inni

pozostają i giną. Mały procent może się pochwalić dorobkiem, lecz i tym przepadnie wszystko, gdy lato będzie podobne, jak w roku bieżącym.”

Oto przekład ustępów z korespondencji dziennika „Sibirskaja Żizń.”

„Czernihów. W r. 1911 z gubernii czernihowskiej pojechało na Syberję ogółem 11,346 osób, wróciło zaś z Syberyi 6,877, t. j. więcej, niż połowa. Tych „Syberyjczyków” można teraz widzieć prawie na wszystkich naszych stacjach węzłowych. Zwłaszcza ciężkie wrażenie wywołują „Syberyjczycy”, obarczeni rodzinami: Głodni, wychudli, schorowani, obdarci; wielu z tych nieszczęśliwych „powrotnych przesiedleńców” nie waha się nawet wyciągać ręki po jałmużnę.—Zrobili z nas żebraków,—skarżą się najbardziej rozgoryczeni syberyjczycy. „Ziemcy” chcieli nas przesiedlić jaknajdalej od siebie, myśmy lekko-myślnie uwierzyli słodkim słówkom panów o Syberyi, mlekiem i miodem płynącej, i ciężko odpokutowaliśmy za to.—Ci „powrotni przesiedleńcy” stanowią u nas poważną siłę agitacyjną przeciwko ruchowi wychodźczemu, stanowią żywy przykład nieszczęsnego losu emigrantów. W tym roku życie emigracyjne w gub. czernihowskiej ledwie tchnie.

Charków. W ostatnich czasach w pow. lebidzińskim gub. charkowskiej zauważyć się daje gwałtowne powracanie wychodźców z Syberyi. Położenie powracających wychodźców jest nader trudne: część pieniędzy, uzyskanych ze sprzedaży dobytku, wydali na podróż, a tu wszystko wyprzedane i trzeba się na nowo zagospodarowywać. Zwłaszcza ciężko im będzie

z tego względu, że całą zimę będą musieli kupować żywność. Emigranci malują życie na Syberyi w najciemniejszych barwach: wskutek wielkich i długotrwałych deszczów urodzaj był lichy, pracować trzeba było w wodzie, wkoło lasy odwieczne i nieprzebyte, tak, że trzeba je karczować, aby przygotować kawałek ziemi do zasiewu. Nasi chłopci nie przywykli do tego wszystkiego i całe dziesiątki rodzin naraz uciekają do rodzinnych miejscowości, gdzie ich czeka straszna nędza. Ale jeszcze gorsze jest położenie chłopów, którzy dostali pożyczkę od rządu. Chłop nie może wrócić do ojczyzny, dopóki nie spłaci pożyczki, a spłacić w większości wypadków nie ma z czego, — i biedak z konieczności zostaje.

Turgaj. Turgajski gubernator, zwiedzając kolonie „przesiedleńców” w powiatach kustanajskim i aktiubińskim, stwierdził bardzo znaczny upadek ich gospodarstwa. Aby je podnieść, konieczne byłyby 3—4 lata obfitego urodzaju i coroczna pomoc rządu. Z tarskiego powiatu nadchodzi wiadomości, że wielu nowych kolonistów nie zdążyło zasiać zboża w tym roku.⁷

NOWE KSIĄŻKI.

Emily Greene Balch. „Die slavische Einwanderung in den Vereinigten Staaten“ tłumaczenie z angielskiego w Tryeście. Wiedeń 1912 r.

Książka wyżej wskazana jest tłumaczeniem pracy amerykańskiej, będącej profesorem ekonomii politycznej w kolegium w Wellesley w Stanie Massachusetts. Pan Filipowicz tytuł zmienił. Tytuł oryginalny jest „Our

slavic Fellow Citizens” co znaczy „Nasi słowiańscy współobywatele”. W tłumaczeniu praca ta została skrócona i w całości nie przedstawia w całości, gdzie autorka truje przyczyny powodujące uchodźstwo z ziem słowiańskich. Autorka w swej pracy porusza wszystkie strony sprawy, które mogą budzić interes polskiego czytelnika robi to przytem ona z kompetencją wolną od zarzutu gdyż wszystko zrobiła co mogła by tę kompetencję zdobyć. Z tych względów praca autorki zasługuje na spolszczenie. W pierwszym rozdziale znajdujemy historię słowiańskiego wychodźstwa do Ameryki w którym nie brak interesujących szczegółów. Następnie autorka usiłuje oznaczyć rozmiary tego wychodźstwa, jego kategorie i jego rozmieszczenie na terytorium Stanów Zjednoczonych. W dalszym ciągu autorka kreśli stan majątkowy, wysokość zarobków, rozmiary oszczędności żywiolu słowiańskiego w Ameryce. Zajmuje się możliwie szczegółowo pytaniem jak ten żywiol oddziałal na życie gospodarcze i społeczne Stanów Zjednoczonych.

Dokonawszy tego autorka przechodzi do rozpatrzenia obyczajów i sposobu bytowania ludu słowiańskiego w Ameryce i jego stosunków do reszty otaczającego go zaludnienia. Na zakończenie autorka rozważa proces asymilowania się ludności słowiańskiej Ameryki jego podstawy, uzasadnienie i przeplata krytyką mylnych, jej zdaniem, poglądów wyznaczanych przez innych w tej sprawie. Książkę owiewa bezstronność i usiłowanie utrzymania się na poziomie wysokiej kultury i tem pociąga czytelnika. A. K.